

Przekazy PiS na jesień • Życie uczuciowe zetek • Udręki hipochondryka
Pasikowski o „Zamachu na papieża” • KULTURA+: hity sezonu • Po co ONZ

POLITYKA.PL

POLITYKA



Poradnik:
jak się chronić,
co spakować

ATAK DRONÓW

Raport z wojny hybrydowej

s. 10-21



Wydanie w sprzedaży do 23.09.2025

ISSN 0032-3500

3 8>



9 770032 350503

© EPIOTRKOW.PL

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO
TYGODNIK, nr 38 (3532), 1709-23.09.2025, cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Wszystkie
**Oblicza
Egzotyki**

📍 Tajlandia

📍 Wietnam

📍 Sri Lanka

📍 Filipiny

📍 Indie



39

Jak się dziś kończy związki

Tematy tygodnia

- 10 Marek Świerczyński **Szturm dronów**
- 14 Katarzyna Kaczorowska **Dorota i wojna za płótnem**
- 17 Michał Fedorowicz, analityk internetu i mediów społecznościowych, o przegrywanej przez nas wojnie komunikacyjnej
- 18 Marcin Piątek **Jak przygotować plecak ewakuacyjny**

Polityka

- 22 Rafał Kalukin **Groźna licytacja na populizmy**
- 26 Mariusz Janicki **Jak neutralizować przekazy PiS**
- 29 ROZMOWA POLITYKI **Władysław Pasikowski**, reżyser „Zamachu na papieża”, o geopolityce, polskim Kościele i współpracy z Bogusławem Lindą

Społeczeństwo

- 33 Juliusz Ćwieluch **Kosztowne odszkodowania dla opozycjonistów**
- 36 Paweł Walewski **Udręki hipochondryka**

- 39 Marcin Kołodziejczyk **Zghostowani, czyli jak zrywają ze sobą zetki i alfy**

Rynek

- 42 Piotr Ciepiela, specjalista od cyberprzestępczości, o ataku obcych cyberwojsk na polskie firmy
- 45 Cezary Kowanda **Czeskie pociągi na polskich torach**

Świat

- 48 Patrycja Sasnal **Po co nam ONZ?**
- 51 Jarosław Kuisz **FRANCJA Karuzela z premierami**
- 54 Tomasz Zalewski **USA Zabójstwo Charliego Kirka**
- 56 Mariusz Zawadzki **PODRÓŻE Z POLITYKĄ Ukradziony nowojorski Williamsburg**

Nauka/projektpulsar.pl

- 60 Agnieszka Krzemińska **Skąd pochodzą Słowianie? – nowe badania, stary spór**
- 64 Katarzyna Czarnecka **15 finalistów 25. edycji Nagród Naukowych POLITYKI**

- 66 Łukasz Tychoniec **Od gwiazdy do planety**

Historia

- 68 O polityce historycznej Mieczysława Moczara opowiada prof. **Paweł Machcewicz**
- 71 Adrian Sandak **Niemieckie kasyno dla Polaków w okupowanej Warszawie**

KULTURA+

- 78–94 • Kalendarium • Reżyserka Natalia Korczakowska o swoim spektaklu „AlphaGo_Lee. Teoria Poświęcenia”
- Wystawa strojów na Zamku Królewskim w Warszawie • Triennale Tkaniny w Łodzi • Katarzyna Jordan, założycielka Fundacji Visteria, o szansach polskiego dizajnu
- Kolekcja CSW Elektrownia w Radomiu • Gdzie słuchać Chopina
- Od Moniuszki do Sikory: nowy sezon operowy • Mała Warszawska Jesień
- Swans i inni: przewodnik koncertowy
- Jak Ziemia Kopernika pokazała się w Japonii • Polska muzyka na EXPO w Osace • Wrocławski American Film Festival • Nowy Warszawski Festiwal Filmowy

- 96 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego Ludzie i style**

- 102–105 • **Najbardziej absurdalne zakłady**
- **Taniec białej gołębiczy**
- **Fitować, czyli pasować**
- **Turystyka supermarketowa**
- **Greckie wina na nowo**

Stałe rubryki

- 4 Przypisy • 6 Ludzie i wydarzenia
- 74 Afisz • 97 Orliński • 98 Koziołek
- 99 Chutnik i Plebanek • 100 Mizerski
- 100, 106 Galeria POLITYKI
- 101 Do i od redakcji
- 106 To jeszcze nie koniec

Korzystaj tylko z wiarygodnych źródeł informacji



Latawce gotowce

Bartek Chaciński

Polską przestrzeń powietrzną nocą 10 września naruszyło 19 wysłanych przez Rosjan dronów. Nawet to z pozoru proste i oczywiste stwierdzenie przestaje być takie proste i oczywiste, gdy weźmiemy pod uwagę, że 19 to liczba podawana przez polski rząd, a już ośrodek prezydencki informował o 21 dronach. A czy w ogóle naruszyły? Donald Trump w programie Fox News mówił np., że zostały strącone i dopiero wtedy spadły na terytorium Polski – w takim razie kilka z nich musiałoby spadać wyjątkowo długo, skoro jeden zlądował prawie 300 km na zachód od granicy. Nasz rząd mówi jasno o celowej operacji. Ale gdyby wierzyć Trumpowi i jego otoczeniu, trzeba by było mówić o – jak to nazwał – „pomyłce”. Czyli jednej nocy ktoś się pomylił 19 lub 21 razy z rzędu. A już następnej nocy – zero. Co więcej, kiedy już przedstawiciele amerykańskich władz się w tej sprawie wypowiedzieli – na co trzeba było długo czekać – prezydencki minister Marcin Przydacz przyznał, że może istotnie niektóre z tych dronów wleciały do nas „nieco przypadkowo”.

I tak właśnie – nieco przypadkowo tu, przez pomyłkę gdzie indziej, a w pozostałych miejscach zapewne w wyniku nieporozumienia – Rosjanie prowadzą realne działania, gotując Zachód jak żabę i przesuując granicę słynnego art. 5 NATO centymetr po centymetrze. Doprowadzają przy tym do paniki ludzi, szczególnie na Lubelszczyźnie. Tam dwa dni po ataku dronów znów zamknięto lotnisko, w kilku miastach zawyły syreny, co tylko rozjuszyło mieszkańców: ostrzeżenie dźwiękowe już jest, na instrukcje na temat postępowania i miejsc do schronienia się przed zagrożeniem czekamy (ale nadchodzą – więcej na s. 18).

Dlaczego piszemy o „ataku”, skoro obojętne byłoby straty w ludziach, a zniszczenia w domu w Wyrkach były raczej efektem działań obronnych niż samego drona (piszemy o tym w reportażu na s. 14)? Bo znamy bardzo dobrze ładunek, jaki niosły te lecące od wschodu drony. Była to mianowicie mieszanina paniki, medialnego i politycznego chaosu oraz precyzyjnie wycelowanej dezinformacji.

Dane agencji Res Futura, analizującej komentarze publikowane na głównych platformach społecznościowych, ujawniły przy tej okazji drugą stronę tej wojny hybrydowej: 38 proc. tychże wpisów (przy czym mówimy o komunikatach w sieci, często anonimowych, a nie sondażu opinii) wskazywało na Ukraińców jako odpowiedzialnych za atak dronów. Rosjan obwinięto o to 34 proc. postów, przy czym aż 8 proc. wskazywało jako winnych media. „Atak dronów

przebiegał symultanicznie w przestrzeni realnej i wirtualnej” – mówi Michał Fedorowicz, szef kolektywu Res Futura w rozmowie z POLITYKĄ (s. 17). Ten wirtualny obejmował nie ładunki wybuchowe, tylko skrypty narracyjne. Co to takiego? Gotowce, które wystarczy kopiować i puszczać dalej. I które są tak atrakcyjne, że choćby pachniały ściemą na kilometr – jak ostatnio Macron z czterema nogami przed gabinetem Trumpa – i tak się rozejdą, bo zgadzają się z poglądami aktywnej grupy użytkowników i pozwalają zbierać lajki.

W tym wypadku przekaz gotowców brzmiał (w uproszczeniu): „to nie nasza wojna” i właśnie „winni są Ukraińcy”. „Jak tak dalej pójdzie, Rosjanie podbiją nas nie dzięki czołgom, ale na Facebooku” – komentował (na polityka.pl) ten zalew fake newsów Michał Fiszer, relacjonujący wydarzenia wojenne od początków agresji na Ukrainę. Bo militarnie jakoś nam z dronami wyszło (dokładny przebieg operacji opisuje na s. 10 Marek Świerczyński), ale na wirtualnej linii frontu straty są potężne. Na razie operacje partyzanckie w rodzaju hasztagu #PolskieOnuce na platformie X (punktującego osoby przekazujące proputinowskie narracje) widać lepiej niż działania rządu.

Dzisiejszy szybki obieg medialny uczy nas tego, że w pierwszej chwili łatwo się zagubić w sprzecznych komunikatach, a kiedy już naprawdę wiadomo, co się wydarzyło, mało kogo to interesuje, bo pojawia się nowy gorący temat. Żyjemy więc w błędnym kole niesprawdzonych informacji, teorii spiskowych, a często świadomie przekazywanej dezinformacji. Modelowy przykład tychże mieliśmy, gdy tego samego 10 września zastrzelono Charliego Kirka (piszemy o nim na s. 54) – radykalnego aktywistę i influencera, którego tezy o świętości prawa do broni palnej, zaprzeczanie zmianom klimatu czy twierdzenie o konieczności ograniczenia pomocy dla Ukrainy torowały drogę Trumpa do wyborczego zwycięstwa (swoją drogą to właśnie ta sprawa, a nie drony w Polsce, zaprzętała głowę amerykańskiego prezydenta). Zamachowca już schwytano, choć w obiegu medialnym wciąż jest jak kot Schrödingera: jednocześnie skrajnym lewakiem (w opinii prawicy) i zaprzysięgłym konserwatystą (w opinii lewicy). Jeśli nawet w końcu dowiemy się na pewno, jakie były jego motywacje, ta prawda mało kogo już będzie interesowała. Zagłuszą ją inne sprawy.

Ostatecznie żyjemy w ciągłym zwątpieniu w sens i prawdziwość doniesień. Jest tak jak w ulubionej maksymie fascynującego się potęgą informacji Williama Burroughsa: jeśli nic nie jest prawdą, wszystko wolno. To cena, jaką płacimy za przesunięcie akcentu z tradycyjnych mediów, w których ktoś znany z imienia i nazwiska ostatecznie odpowiada za to, co mówi i pisze, na rzecz mediów społecznościowych kierowanych przez koncerny, które już zauważyły, że strach i sensację najłatwiej spieniężać. A w tej dziedzinie Putin jest jednym z najlepszych dostawców. Czyżby to był powód, dla którego tego samego 10 września wiceprezydent J.D. Vance – zamiast wspomnieć o dronach nad Polską – zauważył, że „nie ma potrzeby, by izolować Rosję ekonomicznie”?

Fundusz Kłopotliwości

Na kontach Funduszu Sprawiedliwości leży ponad 62 mln zł. Kolejne 450 mln zł decyzją ministra finansów przelano na lokatę bankową. A jednocześnie organizacje zajmujące się pomocą ofiarom przestępstw albo byłym skazanym ledwo wiążą koniec z końcem. Ministerstwo Sprawiedliwości miesiącami nie było w stanie sprawnie zorganizować konkursów na granty z tych środków. – *Za PiS szastali milionami. Dawali, ile wlaźło. Tyle że tylko swoim. Jak PiS przegrał wybory, liczyliśmy, że wróci normalność, ale aż do przyścia ministra Żurka nie mogliśmy się jej doczekać* – mówi szef jednego z NGO-sów, który prosi o anonimowość, bo nie chce iść na wojnę z resortem, na środki od którego ciągle liczy.

Po przegranej PiS sprawami Funduszu zajmowała się wiceministra Zuzanna Rudzińska-Bluszcz. Podjęła nawet próbę ogłoszenia konkursów, ale resort sam się z nich wycofał. Wiceministra Rudzińska-Bluszcz próbowała również rozliczyć tych, którzy dotacje pobrali, ale po audycie okazało się, że albo w ogóle nie powinni ich dostać, albo nie realizowali obiecanych celów. W kwietniu ministra

wyliczyła, że osiem podmiotów powinno zwrócić w sumie niemal 90 mln zł. – *Jak dotychczas jedynie Fundacja Mocni w Duchu 10 lipca 2025 r. zwróciła kwotę 400 800 zł z tytułu dotacji wykorzystanej niezgodnie z przeznaczeniem. Fundacja pokreśliła, że zwrot ma związek z realizacją zaleceń pokontrolnych NIK* – napisał resort MS w odpowiedzi na nasze pytania. Ale – jak zapewnia rzeczniczka – resort konsekwentnie dochodzi tych kwot i krok po kroku realizuje procedurę administracyjną.

Sprawa Funduszu Sprawiedliwości zdaje się jednym z priorytetów ministra Waldemara Żurka. Pierwsze konkursy na środki z Funduszu ogłoszono już kilka dni po objęciu przez niego urzędu. Minister był tak zdeterminowany, że podzielił zadania, żeby jak najszybciej ogłosić te konkursy,

które były najlepiej przygotowane. W tym czasie rezygnację z funkcji złożyła ministra Rudzińska-Bluszcz.

Do końca września organizacje mogą składać wnioski o granty na łączną kwotę 120 mln zł. Resort zapewnia, że kolejne konkursy ogłoszone zostaną jeszcze w tym roku. Szczególnie ważne są te związane z pomocą byłym skazanym. Z badań wynika, że brak wsparcia po wyjściu z więzienia jest jedną z głównych przyczyn częstych powrotów za kraty. W polskich więzieniach przebywa średnio 80 tys. osób rocznie. Wiele z nich, zwłaszcza skazanych z wysokimi wyrokami, wychodzi z więzienia w pustkę. Państwo ma obowiązek zapewnić im jedynie bilet do miejsca zamieszkania. Jeśli ktoś nie ma ubrań, to za zgodą dyrektora więzienia może dostać buty i komplet odzieży stosowne do pory roku. JULL



Mediacje zamiast procesu

Dwa lata po wypadku na autostradzie A1 pod Piotrkowem Trybunalskim, w którym zginęła trzyosobowa rodzina, przed sądem stanął jego domniemany sprawca **Sebastian M.** Na wniosek obrony sąd skierował sprawę do mediacji.

To zaskoczenie dla dziennikarzy tłumnie zgromadzonych w sali Sądu Rejonowego w Piotrkowie Trybunalskim, ale też dla opinii publicznej. 16 września 2023 r. rodzice i ich pięcioletni syn spłonęli w aucie, gdy uderzyło w nich BMW, którym kierował Sebastian M. Nie został zatrzymany, potem ukrywał się w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. 26 maja 2025 r. został sprowadzony do Polski. Według prokuratury M. ponosi wyłączną winę za spowodowanie wypadku. Grozi mu od sześciu miesięcy do ośmiu lat pozbawienia wolności.

Wniosek o mediację złożyła jego pełnomocniczka. Mecenasa Katarzyna Hebda zasłynęła wcześniej wyciągnięciem z więzienia szalikowca Dariusza N., który został skazany na 25 lat pozbawienia wolności za zabójstwo w 2016 r. młodego piłkarza GKS Katowice (N. też ukrywał się za granicą, obecnie toczy się jego drugi proces). Przeciwny mediacji w sprawie Sebastiana M. był prokurator Aleksander Duda, wniosek poparł jednak pełnomocnik rodzin ofiar Łukasz Kowalski. Kierując sprawę do 30-dniowej mediacji, sędzia Renata Folkman



podkreśliła, że to nie zastępuje procesu ani wyroku, ale wynik mediacji może wpłynąć na wysokość kary.

Czy Sebastian M. może „kupić” sobie wolność? Teoretycznie tak, bo mediacja może skutkować nie tylko złagodzeniem kary, ale też odstąpieniem od jej wymierzenia. Całkowite uniknięcie odsiadki jest jednak mało prawdopodobne ze względu na wagę przestępstwa i jego wydzźwięk społeczny, a także na dotychczasową postawę Sebastiana M. Ten próbował umknąć wymiarowi sprawiedliwości, nie wyraził skruchy, nie przyznał się do winy, obarczał nią ofiarę wypadku. Według aktu oskarżenia na A1 nie interesował się losem ofiar, telefonował tylko do ojca – znanego biznesmena, zachowywał się tak, jakby „wjechał w kosz na śmieci”, jak zeznał jeden ze świadków. Kilka godzin po wypadku M. próbował też zatrzeć ślady, przywracając swój telefon do ustawień fabrycznych. Potwierdziły się też wcześniejsze ustalenia POLITYKI, że gnał po autostradzie 315 km/h (do 329 km/h, jak to określiła prokuratura). „Poruszając się z irracjonalną wręcz prędkością, podejrzany doprowadził do sytuacji, w której nie był w stanie uniknąć wypadku” – podkreślono w akcie oskarżenia.

Sprawa ma wrócić na wokandę najwcześniej 22 października. Sebastian M. przebywa w areszcie śledczym, krewni ofiar nadal są pod opieką psychologa i nie są w stanie uczestniczyć w procesie, natomiast krewni sprawcy procesują się z tymi, którzy ich obrażali w internecie. (ZBOR)

Ordre de bataille

Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15



To wojskowe określenie, zapożyczone z języka francuskiego, a oznaczające porządek bitewny, przeniósł do polityki ponad sto lat temu Józef Piłsudski. Nazywał tak czynniki warunkujące jego najważniejsze decyzje. Militarne spojrzenie dobrze pasuje do dzisiejszej polityki, coraz bardziej przypominającej pole bitwy.

Swoje *ordre de bataille*, zgodnie z metodą Marszałka, koalicja 15 października winna zacząć od analizy planów przeciwnika. Rysują się one coraz klarowniej. PiS prowadzi ofensywę mającą dać mu samodzielne rządzenie w wyborach z 2027 r. Rolę pancernej pięści w tym ataku odgrywa prezydent Karol Nawrocki. By zwiększyć siłę rażenia, uzurpuje sobie uprawnienia, których nie daje mu konstytucja. Stroi się w garnitur Donalda Trumpa, nie zważając, jak diametralnie inne kompetencje dają głowie państwa konstytucje USA i Polski. To jeden z chwytów wojny psychologicznej, dzięki mediom społecznościowym coraz bardziej groźnej. Dezinformacja i prężenie muskułów mają przekonać Polaków, że obóz rządzący już leży na łożach pokonywania i nie warto angażować się po jego stronie.

Tymczasem nic nie zostało jeszcze przesądzone. Świadczy o tym, wbrew propagandzie PiS, wynik wyborów prezydenckich. Owszem, zostały przegrane przez obóz rządzący, ale tylko o włos, i to nie w wyniku przewagi przeciwnika, lecz własnych błędów. Przy tak zrównoważonym podziale wpływów kolejną rozgrywkę może wygrać każda ze stron.

By uczyniła to koalicja 15 października, musi uporażkować swoje szeregi. Wojny nie wygrywa się bez sprawnego dowództwa. Sztabem składającym się z liderów wszystkich ugrupowań może kierować tylko szef Platformy Obywatelskiej, a konkretnie Donald Tusk, polityk najbardziej doświadczony, który potrafi wygrywać z Kaczyńskim. Rojenia o jego zmianie to brak realizmu albo łapanie się na lep pisowskiego hejtu.

Koalicjanci porzucić też muszą złudzenie, że zwiększą własną popularność kosztem partnerów. Nic tak przecież nie pomogło Nawrockiemu jak koalicyjna bijatyka w pierwszej turze, której skutków nie dało się już odrobić w ostatecznej rozgrywce. Tymczasem nie brakuje dowodów, że także po tej szkodzie politycy obozu rządzącego nie zmądrzeli. Tajne biesiadowanie z Kaczyńskim, konkurencyjne projekty ustaw, złożliwe wzajemne recenzje to tylko nieliczne z posunięć, które kontynuowane doprowadzą do klęski. I niech nikt nie łudzi się, że ocaleje na własną rękę. Kaczyński słabymi gardzi i nie bierze jeńców.

Najlepsze lekarstwo na wyniszczające, wzajemne podchody to szybkie przesądzenie strategii wyborczej na 2027 r. Trudno tu wymyślić bezpieczniejszą formułę niż dwa bloki wyborcze. Jeden z udziałem PO, PSL i Polski 2025 i drugi, radykalno-progresywny, złożony z Nowej Lewicy i partii Razem.

To tylko niektóre propozycje. Także pozostałe elementy *ordre de bataille*, w tym katalog spraw, których załatwienie będzie za dwa lata atutem wyborczym, koalicja 15 października winna szybko uzgodnić i realizować. To ona rządzi Polską, a nie prezydent i PiS, więc armat jej nie brakuje. Trzeba tylko je wytoczyć i strzelać do wroga, a nie do siebie.

Covid: rachunek za bałagan

Kiedy Covid-19 przetoczył się przez Polskę, rząd Mateusza Morawieckiego z Łukaszem Szumowskim, a później Adamem Niedzielskim na czele Ministerstwa Zdrowia, miał szansę pokazać się z dużo lepszej strony. Ale – jak wynika z miażdżącego **raportu Najwyższej Izby Kontroli** – obserwowaliśmy festiwal chaosu i niegospodarności. Rządowa administracja, zamiast prowadzić walkę z wirusem w sposób skoordynowany, wołała improwizować i z ponad 271 mld zł pandemicznych wydatków zmarnowała 20 mld.

NIK wyliczyła grzechy rządu z precyzją księgowego: 14 zbędnych szpitali tymczasowych za ponad 612 mln zł, w tym trzy, które nigdy nie przyjęły pacjenta. Do tego 8,9 mld zł na dodatki covidowe, wypłacane bez weryfikacji. Kupiono też sprzęt medyczny za 420 mln zł, który kurzył się w magazynach

(8 rezonansów magnetycznych i 11 tomografów). Szczepienia, które miały być kołem ratunkowym, stały się polem minowym, bo minister kontraktował kolejne dawki, mimo że Polska miała ich dość, by zaszczepić każdego kilka razy. Efekt to 8,4 mld zł utopionych w nadmiarowych fiolkach. Nikt nie sprawdził też, czy kampania promująca szczepienia, na którą wydano ponad 115 mln zł, przyniosła jakiegokolwiek efekty.

Specustawa covidowa, zamiast usprawnić działania, zniósła kontrolę nad publicznymi pieniędzmi, otwierając drzwi do niegospodarności. Pełnomocnik rządu ds. szczepień Michał Dworczyk nie wywiązywał się z obowiązków, a jego nominacja według NIK była formalnością bez sensu. Dane o zachorowaniach i zgonach, kluczowe dla walki z pandemią, były niewiarygodne, bo każdy – od lekarzy po sanepid – zbierał je po swojemu. W efekcie rząd walczył z wirusem po omacku, a obywatele słono za to płacili rekordową liczbą „nadmiarowych zgonów”.



Dlaczego wszystko poszło tak źle? Bo decyzje – jak wskazuje NIK – były dyktowane bardziej kalendarzem politycznym niż logiką. Gdy wiosenny lockdown zadziałał, rząd zaczął myśleć o wyborach i wakacjach, rozluźniając obostrzenia wbrew epidemicznej rzeczywistości. Można powiedzieć, że pandemia była wyjątkowa, że każdy rząd błędził. Jednak w Polsce chaos stał się strategią.

Dobrze byłoby potraktować raport NIK jako lekcję na przyszłość. Izba domaga się zmian w prawie, lepszej koordynacji i rzetelnej analizie skutków pandemii. Bez tego każda kolejna kryzysowa fala znów nas zaleje. Pytanie, czy ktokolwiek wyciągnie wnioski, czy znowu będziemy improwizować? PAW



Katar następny

Izrael zaatakował kolejny kraj. 9 września izraelskie siły lotnicze, łamiąc prawo międzynarodowe, uderzyły na biuro Hamasu w **Dausze**. Rakiety wyrzuczone z nad Morza Czerwonego przeleciały wysoko nad Arabią Saudyjską i uderzając w centrum katarskiej stolicy, zabiły kilku niżej postawionych działaczy tej palestyńskiej organizacji, uznawanej przez Zachód za terrorystyczną i odpowiedzialnej m.in. za atak na Izrael z października 2023 r. Celem byli prawdopodobnie główni negocjatorzy Hamasu, którzy obradowali właśnie nad propozycją rozejmu w Strefie Gazy, wstępnie przyjętą przez Izrael, a zaproponowaną przez prezydenta USA Donalda Trumpa.

Atak był dużym zaskoczeniem z uwagi na szczególną rolę, jaką odgrywa dziś Katar nazywany „bliskowschodnią Szwajcarią”. Od lat gości spotkania trudne do wyobrażenia gdzie indziej, np. negocjacje między Amerykanami i talibami, a także jest bliskim sojusznikiem USA – stacjonuje tam kilkanaście tysięcy amerykańskich żołnierzy, a baza Al-Udeid jest najważniejszym lotniskiem US Air Force w regionie (nie mniej ważne są miliardowe inwestycje Kataru w USA).

Dlatego brak stanowczej reakcji Białego Domu może dziwić. Amerykanie, zbyt późno poinformowani przez Izraelczyków, nie mogli zapobiec atakowi ani nawet ostrzec Katarczyków. Ale też po fakcie

Trump – mimo że to jego propozycje rozejmu „zbombardowano” – przyznał jedynie, że cała sytuacja nie zbliża stron do pokoju. Pod wpływem Amerykanów w rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ potępiającej atak nie pojawia się nawet słowo Izrael. Zbiegło się to z równie słabą reakcją Trumpa na bezprecedensowe wtargnięcie rosyjskich dronów w polską przestrzeń powietrzną – prezydent USA oświadczył, że mogła to być „pomyłka”.

Izrael słynie z atakowania wrogów bez względu na to, gdzie się ukrywają. Legendą obrosła operacja Gniew Boży, w ramach której Mosad na całym świecie likwidował terrorystów odpowiedzialnych za atak na izraelskich sportowców podczas igrzysk w Monachium w 1972 r. Ostatnio celem są głównie liderzy palestyńskich organizacji. W 1997 r. dwóch agentów Mosadu otruli w Ammanie ówczesnego szefa Hamasu Chaleda Meszala i tylko szantaż władz jordańskich wymusił na Izraelczykach przekazanie odtrutki. Rok temu w Teheranie izraelskie rakiety zabiły szefa biura politycznego Hamasu Ismaila Haniję. W zeszłym tygodniu najważniejszym celem był zapewne główny negocjator Hamasu Chalil Al-Hajia. To jednak dość oryginalna taktyka negocjacyjna ze strony Izraela, tym bardziej że w ataku zginął syn Al-Hajii.

W poszukiwaniu motywów

Za zabójstwo Charliego Kirka, lidera konserwatywnej młodzieży w USA (o czym piszemy szerzej na s. 54), Donald Trump obwinił „radykalną lewicę”. Jego akolici w Fox News i innych prawicowych mediach oskarżają liberałów o szerzenie nienawiści do prezydenta i całego jego obozu. Nienawistna retoryka popycha do zbrodni, czego dowodem były w 2024 r. dwa nieudane zamachy na Trumpa. Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Liczba incydentów ideologicznie motywowanej przemocy wzrasta w Ameryce po obu stronach politycznego podziału. A według statystyk w ostatnich dekadach wśród sprawców więcej było prawicowych niż lewicowych ekstremistów.

Niecałe dwa dni po śmierci Kirka aresztowano zamkniętego w sobie 22-letniego **Tylera Robinsona**, dorastającego w konserwatywnej rodzinie mormońskiej, ale motyw jego czynu nie są do końca jasne. Narrację o „lewicowej ideologii” uzasadnia jakoś sam fakt, że na swoich wiecach Kirk demonizował jako zagrożenie dla Ameryki takie społeczne trendy jak wzrost ateizmu, akceptacja małżeństw homoseksualnych czy wielokulturowość. Sprawca nie ogłosił jednak żadnego ideowego manifestu i nie wyjaśnia śledczym, dlaczego zabił. O jego antyfaszystowskich poglądach ma świadczyć wygrawerowany na amunicji do jego karabinu napis („Hej faszysto, łap to!”) i cytaty z „Bella Ciao”, pieśni włoskich partyzantów z ruchu oporu przeciw nazistom i dyktaturze Mussoliniego.



Robinson nie był znany z politycznej działalności, w wolnych chwilach przesiadywał nad grami komputerowymi i wymieniał memy na platformie Discord. Nazajutrz po zabójstwie rozmawiał w ten sposób ze znajomymi z sieci, a wysyłane im autoironiczne żarty mogły świadczyć o tym, że nie stracił poczucia humoru ani dobrego samopoczucia. Pasuje to raczej do portretu psychopaty o szczególnie pogmatwanym umyśle niż do stereotypowego wizerunku lewicowego terrorysty. Bardziej wiarygodne wydaje się na razie czysto psychologiczne wyjaśnienie zagadki mordu w Utah. Robinson mieszkał ze swoim rówieśnikiem, który zmienił płeć na kobiecą i z którym miał podobno romans. A Kirk surowo potępiał transseksualizm i kampanie środowisk LGBT o swoje prawa. Śledczy badają ten trop.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Nepal: zetki obaliły rząd

Tego jeszcze nie było: potężna **manifestacja w Katmandu** – po zablokowaniu dostępu do mediów społecznościowych – zmusiła premiera Nepalu do dymisji. Od wielu tygodni młodzi Nepalczycy, występujący jako pokolenie Z, zwoływali się pod hasztagiem #NepoKids w sprawie korupcji polityków, a konkretnie chodziło o ich świetnie sytuowanych rówieśników, dzieci partyjnych bonzów – zamieszczane tam filmiki pokazywały ich rozpasaną konsumpcję i przywileje. 30-milionowy Nepal jest bardzo młody (średnia wieku 25 lat) i biedny: 40 proc. ludności żyje poniżej progu ubóstwa. Codziennie, w poszukiwaniu lepszego losu, wyjeżdża za granicę 2 tys. osób (ale i ta sfera życia – wizy i pozwolenia – przeżarta jest korupcją), jest już ich dobre 4 mln, w tym żołnierze, najlepszy produkt eksportowy. Przelewy do rodzin w kraju to jedna czwarta PKB.

Z kolei klasa polityczna zużyła się i jest szczególnie cyniczna i zdeprawowana. Od 2008 r., kiedy obalono monarchię, było już 14 rządów, ostatni premier, szef partii komunistycznej K.J. Sharma Oli, rządził już wcześniej cztery razy, a teraz dogadał się z narodem, wczorajszym wrogiem. Dochodziło do przedziwnych aliansów i zwrotów, afery goniła afery. Wreszcie młodzi zwołali się na manifestację, trochę wzorem Sri Lanki, Bangladeszu i Indonezji. Licealiści i studenci wyszli w mundurkach, było wesoło i pokojowo, ale akurat



władze zablokowały dostęp do 26 mediów społecznościowych i komunikatorów, Facebooka, X, WhatsAppa i Instagrama (bo zbojkotowały obowiązek wyznaczenia lokalnego przedstawiciela i osoby odpowiedzialnej za moderację treści), więc pojawił się nowy powód protestu. Posunięcie to odebrano jako zamach na wolność i zemstę na mediach za krytykę władz. Gniew budził też prozaiczny skutek w postaci odcięcia kontaktów z diasporą.

Kiedy manifestanci okrzykli parlament i przełamali barierki, doszło do gwałtownych starć z policją, która użyła ostrej amunicji. W ciągu kilkunastu godzin zginęły 72 osoby, a ponad 1,5 tys. zostało rannych. Odwołano blokadę internetu, ustąpił też premier, ale było za późno.

Następnego dnia zaczęło się plądrowanie i podpalanie urzędów państwowych, włącznie z parlamentem, siedzibą prezydenta i premiera, sądem najwyższym (gdzie spłonęło całe archiwum). Podpalano wille polityków, płonęły samochody, dewastowano hotele, banki, uwolniono więźniów, ucierpiały też siedziby mediów.

Porządek przywróciło wojsko, rozwiązany został parlament. W porozumieniu z manifestantami – to też nowość – tymczasową premierką została Sushila Karki, pierwsza kobieta na tym stanowisku i była przewodnicząca sądu najwyższego popierająca protest. W marcu mają się odbyć przyspieszone wybory. Zdążyło już powstać wiele teorii spiskowych; według najpopularniejszej z nich za erupcją przemocy i wandalizmu stoją obce siły i rywalizacja dwóch potężnych sąsiadów, Indii i Chin.

Wraca Interwizja

Władimir Putin wskrzesza Interwizję. Konkurs piosenki, który kiedyś był odpowiedzią obozu komunistycznego na Eurowizję, ma przywrócić Rosję na mapie międzynarodowych przedsięwzięć muzycznych. Finał wersji rosyjskiej zaplanowano na 20 września. Do udziału zgłoszono artystów z ponad 20 krajów. O składzie decydował klucz polityczny i stopień zażyłości z Kremlm. Oficjalnie pierwszeństwo mają piosenkarze z państw należących do formatów, w których integruje się Rosja, w tym BRICS, Szanghajskiej Organizacji Współpracy (która

niedawno spotkała się na szczycie w chińskim Tiencinie) i WNP. Dlatego do Moskwy przyjechali reprezentanci Arabii Saudyjskiej, Białorusi, Brazylii, Chin, Egiptu, Indii, Kataru, RPA, Serbii, czterech środkowoazjatyckich „stanów” (bez Turkmenistanu) oraz Etiopii, Kenii, Kuby, Kolumbii, Madagaskaru, Wenezueli, Wietnamu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Najwięcej emocji budzi B. Howard, domniemany syn Michaela Jacksona, przedstawiany jako reprezentant USA, choć reprezentuje przede wszystkim siebie.

Obecna Interwizja z zapoczątkowanym w Czechosłowacji i kontynuowanym w Polsce pierwowzorem (w Sopocie ostatni raz

w 1980 r. występowali m.in. Ałła Pugaczowa, Helena Vondráčková, Karel Gott i Czesław Niemen) dzieli jedynie nazwę. Niewiele ma też wspólnego z obecnym kształtem Eurowizji. Regulamin nie przewiduje głosowania publiczności. Werdykt ustali „profesjonalne jury”. Tak zwanych reprezentantów krajów nie zgłaszają nadawcy telewizyjni. Mogą to robić choćby osoby prywatne, a o kwalifikacji kandydatów rozstrzyga jedynie akcept organizatorów. Przed wojną w Ukrainie putinowska Rosja chętnie występowała jako gospodarz czołowych wydarzeń sportowych i artystycznych. Uczestniczyła też w konkursach Eurowizji. Traktowała ją – znacznie poważniej niż państwa z Europy Zachodniej – jako arenę ekspansji kulturowej. Udanie, bo finał w 2008 r. wygrał piosenkarz Dima Bilan. Nowa Interwizja to inicjatywa państwowa, w lutym Putin podpisał specjalny dekret. Za sukces przedsięwzięcia odpowiedzialna jest rada ministrów, zwłaszcza dyplomacja. Oprawą konkursu zajmuje się Konstantin Ernst, główny zawiadowca ceremonii otwarcia igrzysk zimowych w Soczi w 2014 r.





Drony nad Polską

To był atak, test czy prowokacja? Klasyfikacja jest drugorzędna, bo najważniejsze, by tego kryzysu nie zmarnować.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

To miała być rutynowa, choć i tak bezsenna noc dla polskiego i sojuszniczego systemu obrony powietrznej. Kolejny zmasowany atak Rosji na Ukrainę z użyciem kilkuset dronów był jak zawsze czujnie obserwowany, bo w każdej chwili mógł przynieść rykoszety. Od początku wojny było ich kilka, a coraz częściej zdarzały się w ostatnich tygodniach. Ale późnym wieczorem 9 września okazało się, że nadchodząca noc będzie szczególna i przejdzie do historii. Kiedy nie kilka, a kilkanaście naraz bezzałogowych obiektów latających (dziś wiemy, że mogło ich być ponad 20) przekroczyło polską granicę wschodnią, stało się jasne, że zarówno to zdarzenie, jak i reakcja nie będą takie jak wcześniej. Statystycznie rzecz biorąc, było to największe pogwałcenie przestrzeni powietrznej NATO przez Rosję od czasu istnienia Sojuszu. Gdyby coś takiego zdarzyło się w najbardziej napiętych czasach zimnej wojny, mogłoby wywołać trzecią wojnę światową. Ale choć od lutego 2022 r. bardzo wiele się zmieniło w relacjach NATO–Rosja, jedno na razie się nie zmieniło – zachodni sojusz obronny nie chce

wojny z Rosją. Dlatego przekroczenia granicy kraju członkowskiego przez drony używane na co dzień w wojnie z Ukrainą NATO za akt wojny nie uznało. „Zaatakowana” Polska też nie, bo poprosiła sojuszników o pomoc w lepszej odpowiedzi na zagrożenie, a nie o obronę w reakcji na napad.

Reakcja wojskowa od początku była sojusznicza i powtórzała scenariusz znany z poprzednich takich incydentów.

Po nadejściu sygnałów, że nad Ukrainą znowu „się dzieje”, zostały włączone naziemne radary (w tym stojącej pod Rzeszowem niemieckiej baterii Patriot), a w powietrze został wysłany samolot wczesnego ostrzegania AWACS. W dyżurze na wschodniej flance była akurat odrzutowa maszyna włoska Gulfstream, stacjonująca w estońskiej bazie. Polska dołożyła swój własny, niedawno nabyty ze szwedzkiego second-handu, turbośmigłowy Saab 340 AEW. Zaalarmowane zostały załogi par samolotów dyżurnych w bazach w Poznaniu i Łasku, w tym holenderskie F-35, których rola okazała się kluczowa. Ich patrol u wschodnich granic wspierał powietrzny tankowiec z międzynarodowej floty, z udziału



jego zaistnienia, tuż przed rosyjsko-białoruskimi manewrami Zapad-25, skłoniły wojskowych w Warszawie (polskie dowództwo operacyjne), Ramstein (dowództwo sił powietrznych NATO) i Mons (dowództwo operacyjne NATO) do udzielenia agresorom zdecydowanej odpowiedzi.

Wzbraniające się do tej pory przed użyciem broni wobec zagrożenia ze strony Rosji NATO wreszcie się na to zdecydowało.

Dlatego noc z 9 na 10 września przejdzie do historii, mimo że „bitwę powietrzną” lotnictwo NATO stoczyło z bezzałogowcami, a nie z pilotami Wojskowo-Wojskowych Sił Federacji Rosyjskiej. Ale to, że rozkaz otwarcia ognia wydał polski oficer, dowódca operacyjny, gen. broni Maciej Klisz, dodaje sytuacji szczególnego historyczno-politycznego kontekstu. Putin musiał to zauważyć i pewnie go zabolowało, że to akurat mającym wobec Rosji tyle uzasadnionej niechęci Polakom „zezwolono” na otwarcie ognia jako pierwszym. Nie mogło ująć uwadze Kremla, że jakiś „odwet” wzięli też Holendrzy pamiętający śmierć swoich 193 rodaków w zestrzelonym nad zajęętym Donbasem w lipcu 2014 r. samolocie linii Malaysian Airlines. „To było najpoważniejsze starcie NATO–Rosja od powołania Sojuszu” – ocenił brytyjski tygodnik „The Economist”, bo rzeczywiście strzelania do tyłu celów powietrznych naraz między Wschodem a Zachodem do tej pory nie było (choć np. Turcja zestrzeliła w 2015 r. rosyjski samolot po wielokrotnym naruszeniu jej granic). W kierunku dronów zidentyfikowanych jako najgroźniejsze (albo tych, które udało się osiągnąć) holenderskie i polskie myśliwce wystrzeliły rakiety powietrze-powietrze, rozbijając wroga bezzałogowce na drobne szczątki. Ale sukces NATO nie był wcale jednoznaczny.

W nocnej operacji udało się stracić zaledwie kilka dronów, a szczątki dalszych niemal 20 odnajdywano później w głębi kraju. Jeden spadł na dom jednorodzinny w Wyrykach w Lubelskiem, przebijając na wylot dach i wpadając do pokoju na piętrze. Cudem nikomu nic się nie stało. Drony, które wleciały nad Polskę, nie były uzbrojone w głowice wybuchowe (mogły takie być te zestrzelone, analiza ich szczątków trwa), więc w tym sensie ►

w której Polska się wycofała po decyzji Antoniego Macierewicza. Samolotom towarzyszyły śmigłowce, które teoretycznie też mogą zwalczać drony. By wojskowe statki powietrzne mogły swobodnie działać, a w razie potrzeby lądować awaryjnie, czasowo zamknięte zostały cywilne lotniska na wschodzie kraju. To, co odróżniało ubiegłotygodniowy incydent od wcześniejszych, to kierunek wtargnięcia – nie tylko z Ukrainy, lecz również z Białorusi. Jeszcze ciekawsze, że Mińsk kanałami wojskowymi poinformował Warszawę, że drony lecą – a intencje tego gestu wciąż nie są jasne. Białoruś razem z Rosją szykowały się do ćwiczeń Zapad-25, a dronowy nalot mógł być do nich przygrywką, mającą pobudzić system NATO, by pozwolić stronie przeciwnej zobaczyć, jak działa.

Poza aktywowaniem sił Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych nawiązało łączność z władzami politycznymi. W związku z powagą sytuacji przypuszczało, że może być konieczna autoryzacja działań na najwyższym szczeblu. Ale politycy nie przeszkadzali tym razem wojskowym ani nie próbowali przejmować dowodzenia. Prezydent i premier byli w dowództwie operacyjnym statystami. System obronny NATO przewiduje tzw. preautoryzację – dowódcy mają w zakresie reagowania przekazaną im przez Sojusz swobodę podejmowania decyzji – takich, jakie uznają za konieczne w działaniach pilnych, łącznie z użyciem broni. Polskie władze cywilne i wojskowe długo były niechętne strzelaniu, wskazując na ryzyko pomyłki i zagrożenie dla ludzi na ziemi. Ale skala incydentu z ubiegłej środy i moment